

wiele cierpi, widząc swoją bezsilność wobec potęgi choroby: ucieka więc, by serca sobie nie krwawić. Żłoty człowiek, kończyła.

Raz nachylił się doktor do mnie, radząc bym z chorą sąsiadką nie mówiła, bo ją to męczy; zresztą jest zbyt zdenerwowana.

Było to we Czwartek. Chora uniosła się na posłaniu i poprosiła mnie bym do niej podeszła. Wzięła mnie za rękę i rzekła:

— Słuchaj pani — jutro, pojutrze umrę. Trudno mi nie poskarżyć się na dołę moje, trudno zabrać ze sobą tajemnicę życia, raczej cierpień moich. Kochałam. Kochałam i byłam kochaną. Nieszczęściem mojem, że we właściwym czasie kochać przestać nie umiała. To mój grzech cały. Alfred Dacki poznał mnie u jednego ze swych kolegów i pokochał — po swojemu. Oszołomił pięknymi frazesami, mnie, com o życiu pożytecznem, pełnem czynu marzyła! Pokochał, lecz i porzucił; alem ja go pokochała mocniej, lepiej, głębiej. Gdy list mi nadesłał, w którym odwołuje się do serca mego i do rozsądku, bym mu „karjery“ nie psuła, bym nie stanęła w poprzek jego obowiązkom dla kraju, — zrozumiałam go, alem kochać nie przestała! Dopiero w chwili, gdy mię tu, umierającą, jako obcą powitał — przejrzałam. Lecz zapóźno, bom już nawet sił nie miała, by moją zgniłą plwociną w twarz mu parsknąć.

Karjera. Oto ostatnia i pierwsza jego miłość prawdziwa. Słuchaj pani! Kogo karjery moloch w swe szpony chwyci, ten człowiekiem być przestaje. Sprzedaje wszystko — byle być u szczytu swych podłych marzeń. Sprzedaje przekonanie, by się w kłamki wielkich zawiesić, sprzedaje sumienie, by w bogatej damie płód niewczesny zabić, sprzedaje elementarne pocucie miłości, by się władzy nie narazić!

I mnie, mnie, com w ludzi wierzyła, tak się rozczerować zmuszono! Ale nie! są jeszcze ludzie czysti, tylko takich mi poznać nie dano. A spotkałam....

Padła na poduszki zmęczona wysileniem. W Niedzielę umarła. Pytałam posługacza, kto sekcję robił. Mówił mi, że doktor sam czasu nie miał, kazał tam felczerowi zrobić.

\* \* \*

Pół roku później zdarzyło mi się być w Warszawie. Zaproszony przez jednego z byłych kolegów, zaszedłem doń wieczorem i zastałem grono osób — między niemi Dackiego.

Siedział w fotelu, wokół niego inni i inne; opowiadał. Przyszedłem na koniec opowiadania, w którym wyłuszczał, jak to poświęcenie powinno być ołtarzem człowieka. Opowiadał fakt o kimś, w kim się siebie domyślać pozwalał.

— Tak — kończył głosem podniesionym, — nie wahał się związać losu swego z losem biednej, opuszczonej nauczycielki; nie baczył na to, że czynem tym karierę sobie zwichnąć mógł, bo i któż go biednego przyjmować u siebie będzie, któż zrozumie szlachetne poświęcenie. Tylko śmierć nielitościwa przeszkodziła połączeniu dwojga istot pięknych...

Mimowoli wyrwałem się:

— Czy to ta, co u was w szpitalu zmarła?

Zerwał się Dacki i pociągnawszy mnie w kąt salonu, spytał:

— Co kolega mówisz? To, to — znów plotka Werkskiego. Daję słowu honoru.

Takimi są Daccy.

## VI.

### A chciał!

W jednym z przedziałów klasy trzeciej pociągu kolei Terespolskiej, dążącego do Warszawy, spostrzegamy młodzieńca dwudziestoletniego. Po towarzyszach podróży wzrok

jego błędził z lekką dumą, pogrążony jednak w swe myśli nie zawierał podróży żadnych znajomości. Myśli po głowie Antoniego Rybackiego snujące się nie należały do najweselejszych. Brzniały mu jeszcze w uszach ostatnie słowa ojca, urzędnika w jednym z miast południowej Rosyi: „te 49 rubli zebraliśmy kosztem krwawych ofiar“, brzniały łkania matki i rodzeństwa. Z goryczą myślał o towarzyszach, których rodzice za szczęście sobie poczytywali, że synów swych na uniwersytet wysyłają, gdy tymczasem on po długiej walce z wolą ojca, uzyskał pozwolenie udania się do uniwersytetu, do Warszawy, do Polski.

Pieniądze, pozostałe po opłaceniu kosztów podróży, miały mu starczyć na pierwsze potrzeby, do czasu dostania lekcji, o co w tak wielkiem mieście jak Warszawa trudno mu nie będzie.

O, bo ojciec chciał go widzieć u szczytu swych własnych marzeń — jako naczelnika bióra, by syn dosięgł tych wyżyn, których on sam nie dosięgł. Ale nie ma o czem mówić! — nauka, zabardzo go pociągała, by miał zostać aplikantem biurowym i najpiękniejsze lata swego życia na przepisywaniu „dokładów“ strawić. Pragnienia wolności za wiele cenił, by czołem bić przed łotrem-urzędnikiem; za wiele miał pocucia osobistej godności, by kark przed tymi zginać, którymi w duszy pogardzał.

Tego rodzaju myśli unosiły się w umyśle Antoniego, kiedy na jednej ze stacji pośrednich do wagonu wszedł mężczyzna lat koło dwudziestu pięciu, ze skromnym węzełkiem w rękę i siadłszy obok Antoniego, po badawczem spojrzeniu spytał go głosem szorstkim:

— Do uniwersytetu?

— Tak, była odpowiedź zmieszanego zrazu Antoniego.

— A!

W tem „A!“ brzmiała ironja, współczucie czy litość — trudno określić.

Po chwilowem milczeniu Antoni zagadnął.

— Zapewne kolega?

— Tak.

I wywiązała się wkrótce rozmowa, w której Antoni zasypywał swego towarzysza gradem pytań, odbierając odpowiedzi w tonie prawie protekcyjnym; tonu tego Antoni prawie nie zauważył.

Kiedy podjeżdżali do Warszawy było już postanowionem, że Antoni zamieszka ze swym nowym znajomym, Włodzimierzem Żukiem.

\* \* \*

Po upływie dwóch tygodni Antoni lekcji jeszcze nie miał, a po zagospodarowaniu się i wyżywianiu przez czas tych dwóch tygodni pozostało 8 rubli. Był zmartwiony i zapomnienia szukał w gorączkowem zajęciu się przedmiotem wykładów.

Włodzimierz zżymał się, słysząc narzekania Antoniego, sam zaś po dniach całych leżał, albo do góry brzuchem na łóżku, paląc, zapatrzonego w sufit, albo na dół brzuchem na bilardowym stole w sąsiedniej cukierni. Na wykłady uczęszczać jeszcze nie zaczął.

Raz, idąc razem po mieście, spotkali wysokiego, chudego studenta, którego twarz znamionowała naturę bez troski o jutro.

— A, Adam, dokąd idziesz, zapytał Włodzimierz.

— Z wami, brzmiała odpowiedź Adama.

I poszedł, a odtąd mieli bezpłatnego współlokatora, który zresztą tylko noce w domu spędzał.

Ośm rubli starczyło na trzy tygodnie; lekcji wszakże nie było żadnej. Na szczęście z domu przysłano cztery ruble; rubla pożyczyl zaraz Adam.